

Nazywam się Roman Bar, ur. 11.09.1926 w Stryju, a więc w dawnym województwie stanisławowskim. Moja rodzina też stamtąd pochodzi. W 1926 r. moja rodzina przeniosła się do Gdyni, tam dziadkowie, mój ojciec założyli pierwszą mechaniczną piekarnię - nazywała się "Warszawska", a znana była pod nazwą "Kukielka". Do 39r. przebywaliśmy w Gdyni. W tym samym roku mój ojciec, Zygmunt Bar, z powodu pracy w Polskim Związku Zachodnim został aresztowany jako zakładnik, przebywał w Victoria Schulle, ~~został tam naj~~ prawdopodobnie ~~rozstrzelany~~ Niemcy wywieźli go do Piaśnicy i najprawdopodobniej 11 listopada został tam rozstrzelany wraz z innymi zakładnikami. Matka natomiast w październiku została wysiedlona i wyjechała do Krakowa.

Natomiast ja w miesiącach letnich 39r. wyjechałem do Stryja, do ciotki, gdzie zastała mnie wojna. Mąż ciotki jako zawodowy podoficer wyjechał zgodnie z rozkazem na Węgry. Zostaliśmy sami, tzn. ciotka, jej córka i ja. Najpierw weszły wojska niemieckie, wycofały się i wchodzi armia radziecka. Zaczęło się tzw. oswobodzenie zachodniej Ukrainy.

Problem zaistniał niemały, bo ciotka nigdy nie pracowała, a teraz musiała utrzymać sama całą rodzinę. Po prostu chodziła na tzw. tandetę, czyli rynek, i tam sprzedawała wszystkie możliwe rzeczy. Tak biedowaliśmy. W pewnym sensie uratowało nas to, że ciotka została zmuszona do przyjęcia na kwaterę żołnierzy radzieckich, podoficerów. Później jeszcze dorzucili nam jednego oficera z żoną. Tak więc sporo było ludzi, a ciotka miała tylko trzy pokoje; w jednym pokoju my, a w dwóch oni. Myślę, że zakwaterowanie sowietów ocaliło nas przed wywiezieniem. Jak wiadomo, wywozili wszystkich... Wiem - o ile dobrze pamiętam - że przyszli po nas... Pamiętam, w nocy zastukali do drzwi, zaczęła o wszystko się wypytywać. I wówczas "nasi" żołnierze radzieccy <sup>t</sup>inwerweniowali, tak że po jakiejś

tamci zrezygnowali.

Wiem także, że w tej drugiej fazie wywózek, kiedy zaczęto wywozić ludzi, którzy przyjechali w tamte okolice po 39 r., którzy uciekli przed Niemcami, przyszli również i po mnie. Uratowało mnie to, że byłem u ciotki zameldowany, czyli miałem ciągłość meldunkową.

Mieszkaliśmy przy ul. Hołówki, niedaleko było więzienie. Charakterystycznymi i powtarzającymi się obrazkami były transporty. Przyprawiali do więzienia rozmaitych ludzi; byli złapani na granicy, którzy chcieli uciekać na Węgry, inni aresztowani przy różnych okazjach.

Też ciekawe - naprzeciw nas mieściła się siedziba NKWD. Widzieliśmy, jak przyprowadzano ludzi, zazwyczaj nocą, tak więc teraz nie bardzo potrafię przedstawić konkretne fakty - przecież byłem 13-letnim chłopcem...

Po wkroczeniu Sowietów/~~w naszym ujęciu~~, nastąpiły zupełnie inne warunki życia. Rosjanie narzucili całkiem inny styl w porównaniu do obowiązującego przed wojną - np. organizowanie przeróżnych masowych mitingów, pod przymusem spędzanie ludzi, rozmaite propagandowe imprezy. ..

Jeśli chodzi o zachowanie naszych lokatorów. Byli to zazwyczaj ludzie otwarci, serdeczni - pomagali, na ile mogli, np. dawali nam czasem jakieś konserwy.

[Red.: Czy rozmawiali z wami? Może by pan opisał jakąś scenę].

Chcieli trochę rozmawiać, ale kiedy byli sami, nie mieszkano ich kilku. No więc kiedy byli sami, puszczała trochę farby w stylu: U was nie jest tak, jak nam mówiono... Mam o nich raczej miłe wspomnienia. Byli to młodzi chłopcy, weseli, dużo śpiewali... Ale nie przypominam sobie, by upijali się, by zrobili po pijanemu jakąś burdę.

[<sup>Red. i)</sup> A na mieście inni żołnierze? Bo ci byli podoficerami].

W pierwszych dniach wkroczenia Sowietów może miały miejsce przypadki zachowania się ich, jakie nie licowały z żołnierzem. Polski żołnierz był zdyscyplinowany... To był inny typ żołnierza, jak nazywaliśmy



ich, jacyś dzicy: byli szmatławi, brudni, karabiny na sznurkach, co dla nas było szokiem, bo u nas żołnierz był jak lalka... Ale oficerowie byli inni...

U mojej drugiej ciotki (siostra matki, jej mąż prowadził zakład fryzjerski) też wsadzono na kwaterę żołnierza - oficera, Gruzina, chyba starszy lejtnant. Ten pan był wyjątkowo sympatyczny, może to jakiś arystokrata. Wszyscy prawie sowieci byli w zachowaniu prymitywni, tak ten wybijał się swoją kulturą osobistą. Np. tak pięknie jadł... Bardzo mnie lubił, przynosił mi jakieś cukierki, coś do jedzenia.

On też, jak i inni oficerowie, był bardzo wstrzemięźliwy w wypowiedziach na tematy polityczne.

Ogólne ich zachowanie odbieraliśmy zdecydowanie wrogo. Nie mogliśmy przyzwyczać się do ich sposobu bycia; byli to dla nas inni ludzie z innego świata. Istniał między Polakami i nimi wyraźny dystans, przypadki społecznego stykania się z nimi były indywidualne.

Potem wsadzili nam do mieszkania całą rodzinę, przyjechała żona jednego z oficerów. Zaczęła robić ciotce rozmaite wstręty. <sup>Jej za-</sup> ~~Rozjawkix~~ ~~chowanie~~ było przejawem już jawnej agresji w życiu codziennym. Wywoływała stale jakieś konflikty. Nie tyle że traktowała ciotkę jak służącą, ile stale podkreślała, że sowieci nas wyzwolili, za co powinniśmy być im wdzięczni (Macie nam wszystko dać itd.).

(Red.: Czy ze strony Polaków pamięta pan jakieś widoczne przejawy nienawiści?).

Nie przypominam sobie... Nienawiść objawiała się przede wszystkim w rozmowach. Trudno nam było się pogodzić z niektórymi faktami, że musieliśmy żyć biednie, że nasze np. tradycyjne święta były niesłychanie skromne. Pamiętam takie okresy, kiedy jedliśmy tylko skórki od chleba, bo o sam chleb było bardzo trudno. Raz - przypominam sobie - moja ciotka dostała od jakiejś sąsiadki Żydówki całą miednicę skórek od chleba... Po chleb trzeba było stać parę godzin. Ciotka bohatersko walczyła o nasze przetrwanie, bo ani ja, ani jej córka nie mogliśmy iść

do pracy. Trochę dzięki pomocy lokatorów udało nam się przeżyć.

Ożyły wówczas w społeczeństwie tendencje lewicowe. Czy były one autentyczne - trudno powiedzieć. Nie tyle wśród Polaków, ile wśród Żydów. W szkole miałem dużo kolegów Żydów, może taki obrazek: Jeden z nich kiedyś mi powiedział - Widzisz, z tej waszej Polski to już nic nie będzie. Trudno mi było coś wtedy odpowiedzieć... W każdym bądź razie było to takie wbicie noża w serce.

Był to na pewno świat całkiem inny. Byli to ludzie niesłychanie prymitywni, np. radzieckie kobiety kupowały sobie jedwabną bieliznę i chodziły w niej na... bale. Biustonoszy używały jako... ~~woskijakikix~~ <sup>nauszni.</sup> Zresztą i my sami ich humorystycznie trochę naciągaliśmy. Np. strasznie interesowały ich zegarki. Stale się słyszało - Czasy, podaj czasy. Sprzedawało się im różne wszelkie możliwe wraki. Nawet jeśli nie chodziły, to Ruskiemu kłapało się zębami nad uchem, a ten i tak kupował.

Chodziłem do IV-V klasy dziesięcioletniej radzieckiej. Moja kuzynka także. Szkoła wyraźnie zorientowana była na jedno: na tzw. warstwę proletariacką, na sowiecki sposób myślenia. Nie było oczywiście mowy o historii Polski, a jeśli już była, to tylko pod jednym kątem - Flacy to obszarnicy, wżyskiwacze, gnębiciele proletariatu itd.

Nauczyciele - byli i Polacy, i Rosjanie. Dyrektor był Rosjaninem, ale powiedziałbym, że był to człowiek przyzwoity. Bardzo pozytywnie <sup>niektórych</sup> bym określił pedagogów radzieckich - Rosjan. Np. świetna była nauczycielka języka rosyjskiego, autentycznie zaangażowana w pracy. Dobrze pamiętam - podręczniki w języku polskim były bardzo dobrze napisane, były komunikatywne: wykład tak prowadzony, że od razu rozumiała. Np. nigdy nie miałem predyspozycji do matematyki, a radziecki podręcznik był tak jasny, że od razu załapałem. Nie wiem..., ale ja odniosłem właśnie takie pozytywne wrażenie. Z tym że my przyzwyczajeni byliśmy do podręczników na porządnym papierze, a te wydrukowane zostały na papierze gazetowym.

(Red: Czy te podręczniki sowieci mieli przygotowane wcześniej? Bo przecież zmiana w szkolnictwie nastąpiła bardzo szybko).



Od razu powstały dziesięciolatki. Nie mogę powiedzieć, jak było w pierwszym roku, natomiast w drugim roku były już te radzieckie podręczniki w języku polskim.

(Red.: Czyli materiał do tych książek musiał być przygotowany chyba wcześniej...)

Myślę, że było to konsekwencją radzieckiego kursu skierowanego na autonomię polską w Rosji. W ostatniej "Polityce" był na ten temat artykuł. Tworzone były takie okręgi polskie w r. 37-38 na Ukrainie i Białorusi.

Szkoła ta zdecydowanie była niepolska, o określonej orientacji sowieckiej, ale dawała jakiś niezbędny zasób wiedzy. Nam dawała przede wszystkim jakąś tam kontynuację nauki, co dla młodzieży było niezwykle istotne. Zupełnie inaczej szkolnictwo wyglądało podczas okupacji hitlerowskiej.

(Red.: Czy była literatura polska?)

Tak, ale głównie typu klasycznego, np. Mickiewicz i... Wasilewska. Nie była to literatura, do której byliśmy przyzwyczajeni. Sienkiewicza, w którym się wówczas zaczytywałem, np. "Ogniem i mieczem", nie można było dostać. Krążyły po ludziach książki powyciągane z bibliotek.

(Red.: Czy pamięta pan, co np. przerabialiście z Mickiewicza?)

Nie potrafię tego odtworzyć...

Najbardziej zorientowana na jakiś taki sowiecki krytycyzm była historia, zwłaszcza dotycząca układów społecznych panujących w Polsce przed wojną.

(Red.: Jak przedstawiała się sytuacja Kościoła?)

Do kościoła można było chodzić, nie było jakiś zakazów; ludzie chodzili tłumnie, ale Kościół znajdował się w trudnych warunkach. Cerkwie również funkcjonowały normalnie. Nic nie wskazywało na to, że istniał antyreligijny terror, on istniał, ale nieoficjalnie.

(Red.: Jak się zachowywały inne narodowości?)

Ukraińcy oczywiście wtedy... Ich postawę podzieliłbym na dwie fazy.

Najpierw oszołomiła ich ta "wolność", rzekomo którą uzyskali. W pierwszy<sup>m</sup> roku byli wyraźnie przeciw Polakom, później oprzytomnieli jakby, bo otrzymali Ukrainę w zupełnie innym modelu. Chyba w 41 r. zaczęli trochę wspominać, jak to za Polski było lepiej...

(Red.: Czy wśród Polaków postawy się różnicowały?)

Owszem pojawiały się pewne orientacje prokomunistyczne.

[Red.: W jakich przeważnie grupach społecznych?]

Tak jak pamiętam, to chyba w tym tzw. proletariacie, bo inteligencja napewno nie była zorientowana prokomunistycznie. Jeśli już, to były to wypadki sporadyczne. A inteligencja stanowiła wcale pokaźną grupę; napłynęło jej dużo z zachodnich części Polski. A jeszcze miejscowa inteligencja... Stryj był przecież ośrodkiem powiatowym - miał trzy gimnazja: dwa męskie i jedno żeńskie. Był w pewnym sensie satelitarnym miastem inteligenckim w stosunku do Lwowa, tam była autentyczna inteligencja, która nadała ton. Ta jej część, której sowieci nie wywieźli, gdzieś ja<sup>k</sup>oś pracowała, żyła...

(Red.: Czy ze strony Polaków pamięta pan jakieś próby organizowania się?)

Ja się z tym nie spotkałem.

Wybucho wojna niemiecko-radziecka. Pamiętam, wczesnym rankiem zaczęło się ostrzeliwanie z broni maszynowej, zaczęło się bombardowanie węzła kolejowego. Chyba w dwa czy trzy dni przyszli Niemcy.

Jak powiedziałem, naprzeciw nas była siedziba NKWD, sowieci wycofując się ~~wczadziakcjaxexpawkekrzexc~~ podpalili ją. Cały gmach spłonął. Ale pozostało więzienie. Kiedy sowieci wyszli, ludzie sforsowali bramę więzienną. Byłem tam, widziałem ludzi, którzy tam siedzieli. Uratowało się ich kilkunastu czy kilkudziesięciu. Pamiętam jak dziś młodego chłopaka, lat kilkunastu, takiego opuchniętego - chyba z głodu, który opowiadał, że sowieci przed wycofaniem się zaczęli chodzić po celach i likwidować więźniów - rozstrzeliwali. On jakimś cudem ocalał. Wszystkich rozstrzela



nych wrzucili do szamba. Polacy wyciągali zwłoki... Widziałem tych ludzi, sam widziałem... Później zaczęła się grabież magazynów żywności... Pamiętam, że wziąłem sobie plik zeszytów.

(Red.: Czy dużo było tam więźniów?)

Dokładnie nie pamiętam, ale mówiono, że tak 200 -300 osób. Siedzieli tam rozmaici ludzie, ale większość tych, którzy chcieli przejść na stronę węgierską. Woskowi - oficerowie, podoficerowie, cywile. Granicę ostawiali tzw. pogranicznicy, w zielonych czapkach, z psami. Widziało się całe konwoje ludzi prowadzonych do więzienia, co widziałem chyba z kilkanaście razy.

Przyszli Niemcy. Ukraińcy znów wyszli, wyszli witać Niemców z kwiatami. Żydzi - nie! Chyby już wiedzieli, jaka jest sytuacja. Zresztą już w pierwszej fazie zaczęło się wyłapywanie Żydów. Polacy też, powiedziałbym, z ulgą witali Niemców, wszyscy odetchnęliśmy; nie wiedzieliśmy jeszcze, co się dzieje na zachodzie, ja np. nie znałem jeszcze losów ojca. Niemcy przynieśli inny porządek...

Wkrótce przyjechała moja matka z Krakowa. Otrzymała specjalną przepustkę i w październiku pojechaliśmy do Krakowa. Nasze warunki materialne wyraźnie się poprawiły, matka przywiozła ze sobą trochę jedzenia, ubranie dla mnie, bo - pamiętam - za sowietów nie bardzo mogłem wyjść na dwór, bo nie miałem pończoch...

W Krakowie zamieszkaliśmy na ul. Urzędowej, ale Niemcy wysiedlili nas na ul. Sebastiana, tam mieszkaliśmy do 43r.

W 42r. mój kuzyn, Rudolf Bar (ps. Granit), wciągnął mnie do konspiracji. Został on szefem naszej piątki. Praktycznie nie wiedziałem, do jakiej wstąpiłem organizacji... Przysięgę złożyłem w kościele na Dębnickiej. Wstąpiłem do AK, o czym nie wiedziałem, w każdym bądź razie nie była to żadna organizacja komunistyczna - takiej wówczas przecież nie było.

Początkowo pracowałem, by uniknąć wywózki do Niemiec, w dwóch biurach handlowych. W konspiracji rozpoczęło się szkolenie, później otrzymywaliśmy rozkazy przenoszenia paczuszek, meldunków. Zostałem wtedy skierowany do służby pomocniczej przy straży pożarnej, cała nasza grupa zosta-

ła tam skierowana w celu rozpoznania stanu przeciwpożarowego różnych obiektów. Do naszego dowódcy przekazywaliśmy ~~informacje~~ meldunki z tych instytucji niemieckich - jaki jest układ wnętrza, co gdzie się znajduje itd. Któregoś dnia mój kuzyn wyjechał, coś niedobrego zaczęło dziać - gestapo coś wyęszczyło. Przyjechał wkrótce po nas i ruszyliśmy do partyzantki. Dostaliśmy się na Lubelszczyznę do lotnego oddziału porucznika Małego. Dostałem wtedy jednostrzałowy karabin francuski Le-bela.

W czasie koncentracji nad Wisłą w lipcu wziąłem udział w trzech akcjach. Zdobywaliśmy Opole Lubelskie, rozbiliśmy tam magazyny "Społem". 14 lipca w Kluczkowicach zaatakowaliśmy pałac, w którym mieszkali esesmani. I największa akcja - pod Urzędowem. 26 lipca wycofująca się olbrzymia kolumna esesmanów, rozmaitych niedobitków, z bydłem - taka wataha, zaczęła iść w kierunku Urzędowa. I wtedy dwa nasze bataliony zaatakowały, co dla Niemców było całkowitym zaskoczeniem. Jeden z naszych - Indiamin - padł. Wg raportu porucznika Małego po stronie niemieckiej zabitych zostało 160, do niewoli wzięliśmy 180 - wszyscy zostali rozstrzelani.

Po uniknięciu klęski, kiedy znaleźliśmy się pomiędzy dwiema wycofującymi się zmotoryzowanymi kolumnami, 27 lipca otrzymaliśmy rozkaz wejścia do Urzędowa. Zgrupowaliśmy się w wąskiej ulicy. W 10, 15 minut po nas wkroczyły wojska radzieckie, czołgi, patrole na motocyklach. I już zaczęła się sytuacja niewyraźna - znaleźliśmy się jakby w matni... Staliśmy na tej ulicy dobrych parę godzin. Czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że toczą się rozmowy pomiędzy naszym dowódcą a sowieckim, chyba generałem, ale nie znaleźliśmy żadnych szczegółów. Staliśmy cały czas pod bronią, żadnych kontaktów my, zwykli żołnierze, z sowietami nie mieliśmy. Dość na tym, że pod wieczór otrzymaliśmy rozkaz wymarszu. Poszliśmy na wieś Sokołówki pod Urzędowem, gdzie staliśmy ze dwa dni, do 1 sierpnia, kiedy nastąpiło rozwiązanie oddziału, zdanie broni. Przez cały ten czas nie mieliśmy żadnych kontaktów z sowietami. Część kolegów pochodziła z bardziej odległych terenów Polskich; była grupa warszawska, krakowska, do



której należeli: Rudolf Bar - Granit, Józef Bątko - Orlik, Zdzisław Jaśko - Wanda, Włodzimierz Kudlarczyk - Gip(?). I właśnie nas rozlokowano po placówkach we wsiach.

Wybuchło Powstanie i wg pierwszej wersji mieliśmy iść na pomoc Warszawie. Cały czas niejasna sytuacja - od razu nas nie wcielili do wojska, natomiast jasne było, że mamy iść na pomoc. Powstała potem druga wersja - mamy wstępować jako oddział do wojska, ale już w momencie, gdy pójście na Warszawę stało się niemożliwe, wzdłuż Wisły bowiem stał sowiecki kordon - wszystkich, którzy znaleźli się w tym terenie, sowieci natychmiast wyłapywali.

Już trwały pierwsze wyłapywania... A my siedzieliśmy na wsi, przenoszono nas jeszcze kilka razy, jeszcze odwiedzał nas dowódca. Padły już nazwiska, bo dowódca spisywał je, gdyż automatycznie mieliśmy awansować o stopień wyżej, praktycznie nie było już konspiracji, przysięga jednak nas obowiązywała - mieliśmy przecież iść na pomoc Powstaniu, nikt nas z przysięgi nie zwolnił... Dlatego też nie mogliśmy samowolnie wstępować do Berlina. Ostatnio okazało się, że Mały prowadził pertraktacje, w wyniku których część naszych pojechała do Kraśnika, by zameldować się w wojsku, ale kilka kilometrów przed miastem ktoś ich zatrzymał - To jest zasadzka, chcą was wyxxx wyaresztować! Wobec tego bractwo się rozjechało. Ja cały czas siedziałem po wsiach. Trochę jakby dowództwo o nas zapomniało. Nie najlepiej jedliśmy - ciągle tylko ziemniaki i biały bar<sup>SZCZ</sup> czasem trochę śmietany, mleka.

Po rozwiązaniu oddziału dostałem trochę zółdu, chyba 500 zł. Co robić?! Kupiliśmy zboże i zaczęliśmy pędzić bimber, by go potem sprzedać. Może teraz wstyd powiedzieć, ale część tego bimbru sami wypiliśmy, resztę sprzedaliśmy w Rozwadowie.

Ostatnia moja kwatera była w chyba w Bożej Woli, u krawcowej. Chłopi potrzebowali wapna, pojechaliśmy więc do Lublina trochę kupić, i tak kupiliśmy nie to co trzeba... W drodze powrotnej zatrzymuje nas milicja. Była już noc i bezwzględnie nas zatrzymali - Nocą nie wolno jeździć! Kim jesteście? - *nie pamiętam, dawdeca pisał... - jak fakcie z AK?! -*

A skądże! - odpowiadamy. Miałem fałszywą kenkartę na nazwisko Roman Rawicz. W nocy gadka - To wy się tu przejspijcie, rano pogadamy. Ale już nad ranem tak do nas mówi - Wy się tu pętacie, a my mamy potyczki z bandytami. Ostatnio nawet kilku złapaliśmy i rozwaliliśmy. Tam w garażu leży jeden z nich. Chcecie go zobaczyć? Poszliśmy z nim. A tam leżał taki młody chłopaczek, brunet z wąsikami, miał przestrzeloną całą pierś. Plutonowy cały czas pilnie nas obserwuje, jak zareagujemy. Poznałem zabi tego - to był chłopak z 27 Dywizji Wołyńskiej, który w końcowej fazie naszych działań dołączył. Spałem razem z nim na kwaterze. Osaczyli go gdzieś na strychu i zarabali... Nazywał się Madziar, tzn. tak na niego mówiliśmy, bo podobny był do Węgra. Nazwiska nie pamiętam. Była to pierwsza ofiara milicji, jaką widziałem.

Zareagowaliśmy obojętnie, więc nas puścili. Wróciliśmy z tym złym wapnem.

Minał sierpień, wrzesień - nic się nie dzieje. Coraz zimniej. W październiku rozbiliśmy się na jeszcze mniejsze grupki, coraz częściej zaczęliśmy jeździć do Lębli<sup>u</sup>, by zdobyć jedzenie.

Pamiętam, kiedyś siedzimy w stodole, a przez wieś idzie patrol NKWD. Mieliśmy ze sobą erkaem, postawiliśmy się - jeśli wejdą, będziemy strzelać. Nie weszli.

Skoro zaczęto nas wyłapywać, doszliśmy do wniosku, że w mieście łatwiej się ukryć. Żadnej styczności z dowództwem, do wojska baliśmy się iść, zostało nas tylko dwóch - Józef Batko - Orlik, też z Krakowa, i ja. Wiedzieliśmy, że sowi<sup>a</sup>ci wyłapują, ale że wywozą, nie wiedzieliśmy. Na ulicach pojawiły się plakaty "AK - zaplute karły reakcji", na każdym kroku legitymowanie - terror.

8 listopada idziemy ul. Królewską, a przed nami wojskowy-Berlingowiec i jakiś taki facet pochożym na sowieta - charakterystyczna skórzana kurtka, bryczesy, długie buty, kapelusz borsalino - taki sowiecki smaczek. Józek, popatrz, tu Srim idzie, w mundurze... Przeszliśmy tak kilka kroków, a on za nami - Hej tam! I zatrzymali nas. Srim do nas - Słuchajcie, przycież wy jesteście od Małego!



Srim należał do naszego oddziału, nasz kolega. Później się okazało, że nasłany był przez AL, by rozpracować oddział. Nazywał się Jan Kowalski, jakiś rok temu umarł.

Pójdziecie z nami! - usłyszeliśmy. Pamiętam, to był taki dziwny moment charakterystyczny dla sytuacji zatrzymania. Bo na dobrą sprawę... Na ulicy dużo ludzi, dalibyśmy radę chyba uciec... Niemcom od razu dalibyśmy dyla, ale wtedy byliśmy tacy zaskoczeni - nasz kolega...

Zaprowadzili nas na ul. Jasną, na UB. Od razu nas rozdzielili, ja zostałem na wartowni, kolegę wsadzili do piwnicy, do aresztu zbiorczego. Chodziło im o nasze zeznania, ale my jeszcze w drodze zdążyliśmy ustalić - nigdy u Małego nie byliśmy, przyjechaliliśmy tu w ostatnich dniach, bo chcieliśmy dostać się do partyzantki, nawet nie wiedzieliśmy do kogo, uciekliśmy z Krakowa itd.

Na wartowni młodzi chłopcy. Co tu robisz? - pytają. Ja nie wiem - odpowiadam - myślą, że posądzają mnie o przynależność do AK. Rozmowie przysłuchiwał się dowódca warty, jakiś podchorąży. W pewnym momencie zostaliśmy sami. Ty, słuchaj, gówniarzu - mówi - w ogóle nie przyznawaj się, że byłeś a AK, bo oni cię rozwalą, oni cię po prostu rozwalą! Siedź cicho i nic nie gadaj!

Wzywają mnie na badanie. W pokoju duże biurko, za nim jakiś cywilny zbir, Polak, morda taka... jakiegoś zbira, zbója, nalana, czerwona. Na biurku nagan. Każe mi siadać, ale tyłem do siebie, i zaczyna się bawić tym naganem, słyszę, jak odwodzi stale kurek... Ty jesteś z oddziału Małego! Nie, jak tylko tu przyjechałem, nie byłem nigdy w partyzantce, <sup>w</sup> AK nie byłem... A on na to - Przyznaj się, bo my tu ci zaraz taki wpierdol damy, że się nie pozbierasz! Co chcecie ode mnie!? - trzymam się <sup>z kolegą</sup> ~~z kolegą~~ ustalonej wersji. Wpada jakiś NKWD-zista - Ty, przyznaj się, my wszystko wiemy, żeś był w AK, w oddziale Małego. I przyznaj się, bo my cię... Słuchaj, jak nie będziesz mówił prawdy, to my cię wywieziemy tam, gdzie może żyć będziesz, ale jebat' nie zachociesz!

Później jeszcze mnie kilka razy przesłuchiwali twarzą w twarz, zapalono na lampę prosto w oczy... Coś tam popisali i wreszcie wrzucili mnie do

wspólnej celi. Tu spotkałem już Józka - zeznawał tak jak i ja. Nie pamiętam, ile siedzieliśmy w tej piwnicy, ale jakoś szybko przewieźli nas na Zamek. Pamiętam szczęk bramy, pomyślałem sobie wówczas - no to tym razem zakwaterowali nas na stałe...

Wsadzają mnie do celi na lewo od bramy, wewnątrz duszno, ciasno, siedzi z 60 osób. Na Zamku już mnie chyba nie przesłuchiwali. Potem przenieśli nas do baszty, tam siedzieliśmy ze dwa dni. Na ścianach pełno napisów, nazwiska... że stąd i stąd siedzieli akowcy; myśmy też się podpisali.

Pewnego pochmurnego dnia, była już połowa listopada wywołano nas, kazali nam się ustawić w dwuszeregu na krużganku i "nasi" oficerowie przekazali nas NKWD. Pamiętam te ich ~~próby~~ półkożuszki... Wsadzili nas na samochody, jeden drugiemu między nogami. Siedziałem blisko burty, wyrzuciłem kilka kartek, że nas chyba wywiozją - wcześniej wszyscy takie karteczki popisali, ale nie wiem, czy ktoś je znalazł. Od razu na dworzec i do wagonów towarowych. Dokładnie nie pamiętam, ilu nas było w wagonie, ale pamiętam straszliwą ciasnotę. Wagon chyba był po węglu, wszędzie miał węglowy, okienka zadrutowane, jakiś niby piecyk, rura spustowa na odchody... Wywóz nastąpił nocą, tak więc w wagonie prześledzieliśmy cały dzień. Do jedzenia nic nam nie dali.

Zaczęło się opukiwanie, sowieci stale <sup>to</sup> bili - sprawdzali, czy nie ma jakiejś luźnej deski. W środku było potwornie duszno, choć jednocześnie nie bardzo zimno. Spaliśmy jak śledzie, w nocy nawiedzały mnie objawy duszności - to uczucie pozostało mi do dziś...

Jechaliśmy około 14 dni, na Moskwę przez Smoleńsk, Orzeł... Dość że wylądowaliśmy na stacji Bałagoje. To był transport lubelski, do obzu przyjechaliśmy 26 listopada, w ogóle do obozu przybyły cztery transporty - 13 listopada z Sokołowa Podlaskiego, nasz 26, 4 grudnia z Przemyśla, 11 grudnia powtórny z Lublina.

Jeszcze w czasie jazdy chcieli w naszym wagonie niektórzy uciekać, ale starsi obawiali się, że jeśli do tego dojdzie, to ich rozstrzelają.



Z innych wagonów chyba uciekali, bo pamiętam strzelaninę...

Byli wśród nas rozmaici ludzie. Niektórzy przygotowani na wywózkę, ci mieli ze sobą ciepłą odzież, kilku nawet futra. Pewnie przygotowani byli tak z myślą o wojsku. Nazwisk sobie nie przypominam. Był natomiast ze mną przez cały czas Józek Batko. Nikt nie wiedział dokąd i po co jedziemy... Byli to rozmaici ludzie... Nawet jacyś zupełnie przypadkowi. Aresztowani za to, że byli rzemieślnikami, właścicielami czegośkolwiek - tak przynajmniej mówili. Zresztą nikt specjalnie się nie chwalił przynależnością do AK, nie było pewności kto jest kto... Z naszego oddziału byliśmy tylko my dwaj.

Co było najgorsze?! Po pierwsze ten ~~stax~~ brud, cały czas w pyle, po drugie - zimno, po drodze zaczęły się mrozy. Nie miałem ze sobą ciepłej odzieży - tylko gumowy płaszcz (w czasie okupacji nazywaliśmy go kondom), przedwojenną rogatywkę polską, która trochę mi przeszkadzała, bo był to w pewnym sensie znak rozpoznawczy. Nie mieliśmy żadnych zapasów żywności. Przez całą podróż robiono nam stale rewizje, więc jeśli ktoś coś miał, to natychmiast zabierali. Najgorszy był brak wody. Zwłaszcza że po suchym prowiancie (suchary z czarnego chleba) pragnienie mieliśmy straszliwe. Dawali nam bardzo mało wody - o ile sobie przypominam po raz pierwszy dali nam po dwóch - trzech dniach podróży. Męczyły mnie koszmary senne. Ciągłe mi się śniła budka z wodą sodową, którą pamiętałem jeszcze z Gdyni. Cóż, towarzyszyła nam niepewność, płaczący ton - co to znami będzie? dokąd nas wiozą?... Nie mieliśmy żadnej możliwości powiadomienia najbliższych...

Od razu wytworzyła się, jak w każdym środowisku, pewna hierarchia - byli już ci mniej ważnej i ci bardziej ważni. Nie chciałbym nazywać tego pejoratywnie, tylko po prostu już w wagonie rozpoczął się taki proces. Miałem przecież tylko 17 lat - taki niedoważony smarkacz, który tam niewiele o życiu wiedział, i nie umiałem się do tego życia ustawić jak niektórzy starsi ode mnie, co to potrafili przepychać się łokciami...

Trzeba przyznać, że wytworzyła się między nami solidarność, np. wszystko, co dostawaliśmy do jedzenia, dzielone było sprawiedliwie.

ma 5.16

i to w czasie powierok. Przez cały czas tego sprawdzania trzymali sowie-  
ci wycelowane w nas automaty, a my jak ta masa stojąca...

Kończy się wreszcie udręka podróży, zatrzymujemy się na jakiejś stac-  
ji.  
Nie wiemy, cholera, gdzie to jest! Pierwsza rzecz, gdy otworzyli wagony,  
to - Bystro!, Bystro! - wysiadać. Wysiadamy i odrazu na rozmiękłą dro-  
gę. Siadać na ziemię! I pamiętam, co udało mi się zrobić - miałem jakąś  
menażkę czy puszkę, a ponieważ siadziałem na skraju drogi, nabrałem wo-  
dy, brudnej wody z rowu. Wreszcie napiłem się... Poczułem, że stoję.

Wszyscy wyszli, policzyli nas i uformowali w kolumnę. I teraz zaczę-  
ła się najgorsza historia...

Pognano nas w kierunku obozu, wszystkich z 40 wagonów, w każdym po  
60-80 ludzi. Długa kolumna. Eskortowali nas młodzi chłopcy, wyraźnie nas  
tawieni do nas agresywnie. Jeśli ktoś wyszedł poza szereg, to od razu go  
walono i "Prochodi!", "Prochodi!"... Poganiali nas ostro.

Szliśmy przez jedną czą dwie wsie. Co najbardziej zapamiętałem, to  
zapach dymu drzewa brzożowego

---

13 a WCHODZI NA STRONĘ 14

---



Obsługa transportu nie pieściła się z nami. Sowieci byli agresywni, ale nie przypominam sobie jakiegoś wyszukanego bicia, tylko jakieś poszturchiwania, uderzenia kolbą - zazwyczaj w czasie prowierok. Zapewne nienawiść sowietów do nas wynikała z tego, że wcześniej zostali nastawieni, naśladali im, iż jesteśmy białogwardzistami, bandytami itd. Wynikała pewnie też z ich osobistych przekonań. W każdym bądź razie nie przypominam sobie, żeby nas celowo wyciągano i bito, bicie było raczej sporadyczne... V 13 A

W czasie przemarszu przy drodze stali ludzie, przeważnie stare kobiety - patrzyły na nas z troską, natomiast smarkacze obrzucali nas i krzyczeli - mikołajczyki!, Białe pany! itp. Te biedne kobieciny żegnały się, zapewne musiały widzieć podobne sceny jeszcze wcześniej.

Wreszcie dotarliśmy pod obóz, okazało się, że nazywa się Jegorsk, popularnie nazywaliśmy go Jogła. Najpierw cały ich rytuał z ~~klaxxkaxx~~ ustawieniem - długie liczenie, wejście do obozu. Stał taki facet i liczył nas piątkami, całą kolumnę podzielili na piątki. Liczbę wchodzących zapisywali na deseczkach, jakich my używamy do krojenia chleba...

Pierwsze wrażenie... Wchodzimy na teren obozu, a tu niczego nie widać tylko jakieś kopce pokryte śniegiem - okazało się, że to baraki wkopane w ziemię. Duże baraki, każdy przeznaczony na 300 miejsc, tzn. na 300 osób, bo cóż to były za miejsca! W środku podwójne nary, z lewej i z prawej też. Małe okieneczka i chyba dwie żarówki na końcach baraku. Zaś przy wejściu były tzw. pokoje dla prominentów - tak je nazywaliśmy, przeznaczone dla dowództwa baraku, lekarzy, w ogóle dla funkcyjnych. Pokoje odizolowane, pojedyncze prycze, nawet z siennikami.

W barakach ciemno. Poformowali nas w dziesiątki - takie jakby struktury organizacyjne do wyżywienia i później do roboty. Każda dziesiątka miała swojego dziesiątnika, który odpowiadał za grupę, wyznaczał nas do rozmaitych zajęć. Byli to nasi koledzy, sami ich wybieraliśmy, funkcyjnych natomiast jakoś tam wybierała komenda obozu. Dziesiątników wybieraliśmy na zasadzie - Słuchaj, ty teraz będziesz. Wybierało się <sup>z</sup>co sprytniejszych, żeby nami sprawiedliwie potrafił pokierować, żeby

mógł nam zorganizować to i to...

Wsadzili nas na te nary. Jakoś głupio je zbili, bo deski leżały wzdłuż, a nie w poprzek i w czasie snu wyginały się jak klawisze. Tylko gołe dechy, bez żadnych sienników. Spaliśmy w ubraniu dziennym. Po jakimś czasie wszyscy cierpieliliśmy na odleżyny, a spać musieliśmy na boku, bo mieliśmy tak mało miejsca. W całym sektorze pomiędzy słupami musiała zmieścić się cała dziesiątka. Za poduszkę służył mi mój "majątek".

Pierwszy okres to okres kwarantanny. Prawie cały czas przebywaliśmy, w barakach, bo do żadnych prac nie byliśmy przymuszani, tzn. tylko kilka razy nas zmuszali, kiedy trzeba było wykonać jakieś prace na potrzeby obozowe - dostarczenie paliwa, żywności itp. Byli tacy, którzy załapywali się do transportów żywności, ja natomiast dosyć często pracowałem przy wywożeniu wody, bo zabijała mnie ta jednostanowość, a praca to zawsze jakaś odmiana. Do pracy wyznaczał dziesiątkowy, żeby każdy sprawiedliwie tam chodził. Nie pamiętam, czy za pracę w okresie kwarantanny dostawaliśmy jakieś dodatkowe wyżywienie, jeśli już, to nie były to jakieś specjalne profity. Dla mnie najważniejsze było tylko wyjście z obozu. A po wodę chodziliśmy z beczkowiezem do rzeki. Oczywiście koni nie było...myśmy byli końmi - każdy miał założone szele i tak ciągnęliśmy beczkowóz do obozu. To była taka iluzoryczna wolność...

Jak to wśród ludzi różnicowały się nastroje od skrajnie pesymistycznych do skrajnie optymistycznych, np. wielu wierzyło, że na Świętą nas puszcza, co oczywiście było absurdem, bo wychodziłoby na to, że przywieźli nas tu na dwa tygodnie, by zaraz puścić... Najgorsze to wspomnienia o jedzeniu. Zwłaszcza starsi panowie wspominali, jak to ich żony gotują... Kiszki się skręcają, a tu faceci mówią o przysmakach, rozkoszują się szczegółami. Wychodziłem wtedy z baraku, bo nie mogłem tego wytrzymać.

Święta Bożego Narodzenia wyjątkowo smutne. Nawet nie było księdza (dopiero po okresie kwarantanny się ujawnił). Tyle że zebraliśmy się w Wigilię pod jedyną żarówką, powspominaliśmy, popłakaliśmy nad naszym losem



I tylko tyle. Za to sowieci zrobili nam w tym dniu prezent - wyjątkowo długą prowierkę. Przetrzymali nas na placu, porządnie zmaźrzyliśmy.

Jedzenie. Pamiętam pierwszą zupę jakąś taka zawieszina z obierzyn z ziemią, dosłownie nie wyplukane obierzyny z kartofli. W manaxźce na dnie zebrało się ze trzy centymetry błota... W drugim okresie dawano nam zupy rybne, rzekomo z ryb... Zupy bardzo ostre, pieprzne. Z ryb było tyle, że połogów menażki wypełniały ości. Ohydna lura! Ohydna lura, którą dostawaliśmy trzy razy dziennie: rano najcieńsza, wieczorem taka sama, a rzekomo na obiad była lepsza - ale ja nie rozróżniałem.

Podstawowym produktem był chleb - rzekomo 600 gram dziennie, ale to była pajdka chleby jakby z formy, grubości ok. 2,5 cm, bardzo wilgotny. Otrzymywaliśmy porcje już przygotowane, a następnie odbywało się losowanie, bo największą frajdą było dostać piętke, taki kawałek, na którym najwięcej było skóry.

Praca. W okresie kwarantanny nie byliśmy do prac kierowani, pracowaliśmy tylko okazjonalnie. Ale, pamiętam, kiedy zabrakło w kuchni drewna na opał, wygnano nas do lasu. Była to po prostu taka nasza Golgota, olbrzymia próba sił fizycznych i psychicznych. Wygnano nas na trasę ok. 10 kilometrów w jedną stronę. Każdy dostał na ramię drewniane polano... Spora część kolegów nie wróciła o własnych siłach, dowieziono ich. Ja się dobrze urządziłem, bo żywność, jaką miałem ze sobą, zjadłem dopiero na końcowym przystanku - może dzięki temu właśnie udało mi się powrócić o własnych siłach. Baliśmy już przecież skrajnie wyczerpani, bądź co bądź trzy miesiące w obozie, z takim jedzeniem... Przyszliśmy, koledzy powitali nas jak przybyszów z innego świata. Dostaliśmy niby gorącą zupę, ale wcale nie była ona lepsza od innych; żadnej nagrody na nasz wyczyn techniczno-sportowy. Tyle że wróciliśmy szczęśliwi - żyliśmy! (Pytał pan, czy umarł ktoś z e zmęczenia. Tego nie wiem, zgony następowały już w późniejszej fazie.)

Po raz drugi poszedłem do pracy, ale dlatego, bo koledzy się wymigali, a ktoś musiał iść... Postawy rozmaite... Ja jestem człowiekiem nastawionym do życia aktywnie, zreszta ona pozwoliła mi przetrwać. Od samego

początki miałem takie nastawienie - ja chcę i muszę przetrwać! Aczkolwiek w pewnym okresie byłem już nie do życia.

Jak mówiłem, miałem skromne ubranie, zwłaszcza że te prowierki trwały czasem bardzo długo - dwie - trzy godziny, bardzo marzłem. A sowietci nigdy nie mogli się nas doliczyć, ciągle im kogoś brakowało. A kiedy ktoś uciekał, to już wtedy celowo je przedłużali. Mój dziesiętnik jakoś zadziałał i dostałem kufajkę, chyba po jakimś nieboszczyku, żołnierzu radzieckim, bo cała była pokrwawiona, ale już było mi znacznie cieplej. Zresztą długo się nią nie cieszyłem, bo mi ją ktoś w nocy ukradł. Później otrzymałem szynel radziecki, znacznie lepszy, bo długi, i w nocy mogłem się nim przykryć.

Zakończyła się kwarantanna. Przed przystąpieniem do pracy każdy z nas stawał przed komisją lekarską. Spuszczał spodnie i pokazywał tyłek. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale okazało się, że w zależności od stopnia umięśnienia pośladków określano naszą przydatność do pracy. Widocznie moje pośladki były w dobrym stanie, bo zostałem skierowany do transportu który poszedł do Borowicz, do stadtlagru, skąd chodziliśmy do kirpiczego zawoda. Była to fabryka cegieł, którą mieliśmy po wysadzeniu w powietrze przez Niemców odbudować. Niestety wpadłem w złe komando, ponieważ jego zadaniem było odnoszenie urobku z betoniarki. Ciężka praca - dwójkami taszczyliśmy to w nosiłkach, a goniła nas przez cały czas ta betoniarka. Tak ustawiono patrole, że nigdzie nie mogliśmy się urwać... Pracowaliśmy na powietrzu, bo hala była odkryta, więc wyziębieni byliśmy straszliwie. Ja jeszcze długie lata po wojnie czułem się taki zmarznięty... Kiedy wróciłem do kraju, nie mogłem się nigdy ogrzać. Do prac oddalonych o kilka kilometrów chodziliśmy torami po pakładach - zrywaliliśmy stale nogi. Kiedy przychodziło się do pracy, już człowiek był zmęczony. I później 8 godzin pracy i powrót do obozu...

W stadtlagrze karmiono nas kapuśniakiem. Była to jakiś zmarznięta niedożywiona kapusta, do tego chleb, tańszy jak wcześniej, i łyżeczka cukru na dzień.

Odmroziłem sobie wówczas nogi, bo wcześniej wymieniłem swoje buty,



szkieł przyzwite

całkiem przyzwite, na niemieckie saperki, które okazały się przyciasne, a po nasiąknięciu stawały się twarde. Miałem oparzenia trzeciego stopnia; każdy krok kosztował mnie dużo bólu, muszę się przyznać - kiedy szedłem, płakałem z bólu. Z tego powodu, co było <sup>RZ</sup> ~~szkieł~~ szkieł zjawiskiem, otrzymałem chyba dwa czy trzy dni zwolnienia lekarskiego. Dostałem nareszcie czysty bandaż! Nie miałem czym owinać zropiałych nóg.

Wtedy cofnięto nas do Jogły, powrócono jakby do kwarantanny, bo w obozie zaczęła się czerwotka, na którą ja też zachorowałem. Był to maj 45, bo - pamiętam - ogłoszono koniec wojny. Miałem silną biegunkę, ale nie zgłosiłem się do baraku szpitalnego, bo tam po prostu... umierali ludzie. Nikt po chorych nie sprzątał, każdy, że tak powiem, robił pod siebie, chorzy nawzajem się infekowali. Może moja decyzja uratowała mi życie...

Jak się leczyłem? Nie było oczywiście żadnych leków. Palilem drzewo brzozone i ten węgiel po prostu żarłem.

Ze zbieraniem drzewa związane jest pewne wspomnienie. Otóż kiedy tak zbierałem ostróżyny tego drzewa, za barakiem, na drodze zabaczyłem jeńców węgierskich, których wówczas przywieziono do naszego obozu. Dotychczas byli Polacy i sporo Niemców; Niemcy przeważnie zajmowali miejsca funkcyjnych, zresztą stosunkowo wcześniej ~~szkieł~~ zaczęli wracać, wcześniej niż my.

Stan sanitarny. Przez pierwsze dwa miesiące w ogóle się nie myliśmy, tylko co najwyżej śniegiem. Raz nam zrobiono, tuż przed pójściem do roboty, tzw. łaźnię. Szliśmy do niej dziesiątkami, każdy dostawał skopek letniej wody (dwa, trzy litry), jak paznokieć kawałeczek mydła. Ale co to za mycie! Woda letnia, mało, a byliśmy przecież strasznie brudni, odzież ta sama, zawszeni... Właściwie to tylko się obmazaliśmy, bo tą ilością wody nikt nie umiał zmyć skorupy brudu. W międzyczasie nasza odzież poszła do dezynfekcji, gdzie rzekomo miano wybić wszy, wyparować je, podczas gdy one chyba jeszcze lepiej się rozmnożyły. Jedyny plus łaźni to możliwość ogrzania się. Cały pobyt w łaźni oczywiście ale był zorganizowany, bo zanim nas spędzono, zanim wszystko przygotowano, to my po oddaniu odzie-

ży zdążyliśmy porządnie zmądrnąć - tak staliśmy na golasa i czekaliśmy. Na szczęście był tam jakiś piec, przy którym trochę się ogrzaliśmy. Na dodatek w międzyczasie cały barak opróżniono, otworzono, by wynozić pluskwy. I do takiego baraku mieliśmy powrócić! Dostałem taką porcję oziębienia!...

Baraki były strasznie zapluskwione. Pamiętam, spałem na dolnej narze - pluskwy wchodziły na górę i spadały na nas jak deszcz, celowały w odkryte miejsca, tak więc nocą staraliśmy się jak najlepiej przykryć, by żadna część ciała nie wystawała. Pluskwy siedziały wszędzie, jedyny sposób na nie to wszystko spalić.

Opieka medyczna. W Jogle z opieką medyczną nie spotkałem się, bo jej nie potrzebowałem. Wiem, że istniał barak szpitalny, w którym część moich kolegów przebywała, ale ja tam nigdy nie byłem. Służba sanitarna uczestniczyła w kilku powierkach. Przeglądali nasz stan fizyczny. W tym składzie sanitarnym były też kobiety i dla nas paradowanie przed nimi, było zenujące. Pamiętam taką młodą fajną lekarzkę... na golasa

Ucieczki. W Jogle pamiętam dwie ucieczki. Na samym początku ktoś uciekł, ale ich złapali, jednego z nich chyba zastrzelili, drugiego wsadzili do karceru. Zwłoki zastrzelonego położono na placu i kazali nam wszystkim koło nich przechodzić. W drugiej ucieczce uczestniczył mój kolega, Henryk Pietrusiński - ps. Aosa (mieszka w Warszawie). Doszli aż do Wielkich Łuków. Wpadli głupio, bo przechodząc przez tor kolejowy akurat natknęli się na patrol NKWD, który ich cofnął.

Wg wersji kolegi Kucharskiego udało się uciec dwóm leśnikom, ale nazwisk nie pamiętam, wiem tylko, że byli z południa Polski. Udało im się dotrzeć do Polski.

Wewnętrzna nasza organizacja. Powiedzmy sobie szczerze, że była ona związana z wyżywieniem i pracą. Trzecia sprawa - dużo było kapusiów, byli tacy, którzy donosili do komendy... Zaufania poza swoimi kolegami człowiek nie miał. Pamiętam Kiliszczuka, jeszcze innego, który powrócił z nami, ale nazwiska nie pamiętam.

W żadnych strukturach organizacyjnych nie brałem udziału. →



W Jogle byłem na to za krótko, odmienne warunki, głód... W zasadzie głównym zajęciem większości stało się zdobywanie jedzenia.

Osobiście nie starałem się w jakiś drastyczny sposób zdobyć dodatkowych porcji jedzenia. Byli koledzy, którzy chodzili po śmietnikach, stale chodzili do kuchni. Byli też tacy (ich zachowanie było przejawem samobójstwa), którzy ze swojej porcji chleba robili tzw. prażuchę - gotowali chleb i otrzymywali jakby zapę. Oszukiwali się w sensie filozoficznym, bo kalorycznie to nic nie dawało. Niektórzy gotowali trawę. Ja nic takiego nie robiłem, bo wychodziłem z założenia, że to, co jest do jedzenia, musi wystarczyć, by nie rozpychać żołądka. A tamci po prostu rozpychali tylko żołądki, łaknienie rosło, którego nie mogli zaspokoić. Ci umierali szybko... Pamiętam, jak za barakiem kilku sobie gotowało takie jedzenie, a wkrótce wywołano ich nieżywych...

Chleb nie zawsze przychodził na czas, i to było przykre, bo każdy się bał, że jego porcję mogą ukraść. Powiedzmy otwarcie - przecież to nie byli tylko aniołowie, sami ideowcy, kradzieże były normalnym zjawiskiem. Kradli chleb, gdyż wielu zostawiało sobie część porcji na później.

Ten jakowy chleb sprawiał jeszcze jedną, przykrą niedogodność - wypróbowanie się. Przecież to była męka! Każ nie chciałem wyjść, bo to były trociny... A jeszcze zimno... Dupsko biedne, odkryte, zmarznięte...

Jeszcze wróćmy do prób zorganizowania się. Jeden z kolegów, ~~(nazwisko)~~ Tadeusz Raczkowski z Lublina (mieszkał w dołach) organizował życie kulturalne. mieszka w Lublinie

Wynikało to głównie z chęci przeciwstawienia się szarzyźnie obozowej, defetyzmowi... Organizował skecze, humorystyczne wystąpienia. Pomagały panie (bo był także barak kobiecy, ale ja osobiście nie znałem żadnej więźniarki). Pamiętam, to chyba było jeszcze przed moim wyjazdem do staft-lagru, przyszedł wieczorem do baraku jakiś Niemiec. On garał, myśmy leżeli, dał koncert na skrzypcach. Po raz pierwszy poczułem, że powróciłem do jakiegoś cywilizowanego życia. Poczułem się człowiekiem, który nie jest tylko w otchłani zła dna. To była kąpiel, która choć trochę zmyła

ten codzienny obzowy brud, poczułem się naprawdę przy tej muzyce odświeżony psychicznie.

Barak to była straszna rzecz - szum. Bez przerwy rozmowy, stykanie się 300 osób. Człowiek stale otoczony ludźmi, bez żadnej możliwości odizolowania się. Do dzisiaj mam jakby taką chorobę, nie znoszę tłumy. Każdy na każdego wchodził - było ciemno... Np. jeden z kolegów (już nie żyje, mieszkał w Gdańsku, nazywał się Zbylut, po wojnie zmienił nazwisko na Adam Edelman) miał przykry przypadek - idąc w ciemnościach nadział się na wystający żardzewiały drut i wpakował sobie w oko; już nigdy na to oko nie widział.

Wracam do Jogły ze sta<sup>dy</sup>slagru. Zakończenie wojny. Miałem silną biegunkę tego dnia - biegnę do ubikacji, na ile się mi starczyło, usłyszałem strzały, okrzyki - wojna się skończyła! Dowiedzieliśmy się o tym z dwudniowym opóźnieniem.

Kolejny przegląd - zaklasyfikowano mnie jako dystrofika do baraku dla ozdrowieńców. Barak wydzielony, nie chodziliśmy do pracy, dostawaliśmy znacznie lepsze wyżywienie, tzn. pożywne zupy. Moja dystrofia polegała na tym, że nie miałem siły chodzić, pod lekką górką już nie mogłem podejść. Przy każdym siedzeniu natychmiast zasypiałem - śpiączka spowodowana zanikiem mięśni. Być może dlatego moja pamięć mocno jest zawężona. Np. usiłowałem sobie wówczas przypomnieć nazwisko po mężu siostry mojego ojca; pamiętałem, że Józefa, ale nazwiska Domaradzka za nic nie mogłem sobie przypomnieć przez kilka dni. Miałem jeszcze awitaminozę i kurzą ślepotę. Wieczorem kompletnie nic nie widziałem, tylko żółte plamy; wieczorem koledzy musieli prowadzić mnie na nocleg. Organizm kompletnie wyniszczony. Na tę okoliczność dostałem kilka kropel tranu i przeszła mi kurza ślepotę. Całe ciało miałem od awitaminozy w planach, niezależnie od ukąszeń wazy i pluskiew.

Kiedy siedziałem w baraku dla dystrofików, zaczęła się kolejna faza naboru do pracy. Mnie wprawdzie praca nie obowiązywała, ale dowiedziałem



się, o powstaniu tzw. komanda Makarewicza, które ma być skierowane do pracy w magazynach żywnościowych. Zdychałem z głodu - myślałem sobie - szanse na przeżycie niewielkie, trudno, trzeba ryzykować. I chyba ta moja decyzja przyczyniła się do tego, że żyjąc, to mój stan był taki, że niewiele brakowało, abym kipnął.

Dostałem się do tej brygady. Rzeczywiście pracowaliśmy w Kowance (oddział obzu) w magazynach żywności. Magazyny znajdowały się na wysokich palach, bo teren był podmokły, także można było pod nimi chodzić. Pracowaliśmy przy przenoszeniu worków z mąką, kaszą, był chleb. Najważniejsze, że magazyny miały drewniane podłogi, które były nieuszczelne, czyli można było podchodząc pod spodem drutem przebić otwory i do czapki. Zawsze wyszło trochę kaszy, pęczak. Było nas 16 i w końcu zorganizowaliśmy sobie robotę: chodziliśmy w różne kąty pod podłogę i wypruwaliśmy żywność, którą potem gotowaliśmy. Jeden z nas - nazwaliśmy go kucharzem-powarem - nic innego nie robił, tylko bez przerwy gotował zazwyczaj pęczak; zbierał rumianek i gotował go - wychodziła taka zielona herbata. Dostawaliśmy trzy, cztery porcje. Jak ugotować Chłopaki bęc! Praca była ciężka - nosiliśmy stukilogramowe worki, ale mieliśmy jedzenia pod dostatkiem. Wtedy od tej roboty dorobiłem się dyski. Ale po pewnym czasie nabrałem ciała... Pracowałem tam prawie do końca obozu, stamtąd chyba powróciłem do kraju. Za tą dodatkową żywność mogłem sobie sprawić dodatkowe buty, zapalić papierosa, czego wcześniej nie miałem, bo cena jednego skrzyta wynosiła kawałek chleba, mogłem sobie kupić czapkę... Gdy wróciłem do kraju, byłem niezłe umięśnionym facetem, wyszedłem z dystrofii, ale nie wyszedłem z gruźlicy, z powodu której <sup>raz</sup>zwolniony zostałem z wojska.

Pamiętam, ~~kixix~~ pracowałem przy załadunku chleba na wagony, wrzucaliśmy go z rampy, tak więc pomiędzy wagonem a rampą była przerwa. Pod wagon wszedł jeden z naszych i rzucaliśmy <sup>mu</sup> - dajmy na to - co dwudziesty bochenek, choć nas stale pólnowali. Gdzieś trzeba było ten chleb ukryć blisko rampy, gdyż nas rewidowali. Znaleźliśmy zalany wodą bunkier, zbudowaliśmy jakby

tratwę i na niej złożyliśmy chleb. W międzyczasie sowieci doliczyli się, że im brakuje, zaczęło się badanie, jakiś Ruski mnie złapał, zaczyna mnie pytać, zdenerwował się, wyciągnął nagan i do mnie. Spojrzałem w tę lufę rewolweru, w otworek, jak przy kłamce... Palnie? Nie palnie? Czy coś nie wyleci?... Ale tylko mnie tym naganem uderzył. Zaraz padłem na ziemię - więcej udawałem, choć uderzył mnie mocno, ale nie aż tak, bym od razu zemdlął. Udałem, że jestem nieprzytomny. On się bardzo przestraszył, coś tam jeszcze pokrzyczał i poszedł. Cała się impreza skończyła.

Msze święte. <sup>Były</sup> ~~Były~~ odprawiane tylko w J<sup>v</sup>gle - w Kawance nie przypominam x sobie. Odprawiane były tak jakoś półoficjalnie, za cichą zgodą komendantury. Nie pamiętam wiele... Wiem, że uczestniczyłem, ale muszę powiedzieć, że nigdy nie pchałem się Bogu pod nogi... Na mszy zawsze było pełno ludzi, część stała poza barakiem.

Kontakty z obcokrajowcami. No więc z Węgrami kontaktów nie miałem, z Niemcami tak, ale nie były to kontakty sympatyczne. Niemcy w obozie zachowywali się arogancko, podkreślali swoją wyższość. Np. jesteśmy w żelni, myjemy się, wchodzi jakiś starszawy Niemiec, chyba mocno chory, bo po prostu lało się z niego. Zaczął się tak na siłę przysuwać do pieca, rozpycha się - na to miał siłę! Ktoś mu zwrócił uwagę - Co się tak pchasz!? A on zaczął wrzeszczeć... Niewiele było trzeba, jeden, drugi mu dołożył i na tym skończyła się sprawa.

Drugi przykład. Wiosną 45, już po kapitulacji Niemiec, przyprowadzili do nas grupę oficerów niemieckich, wziętych do niewoli w Kurlandii. Faceci z orderami, elegancko ubrani, ciepłe czapy - jakby dosłownie wczoraj byli jeszcze w koszarach. Fason trzymali jak diabli! - to trzeba przyznać. Ich kuta była widoczna - tak stali, patrzyli na nas z taką pogardą, na tych już zmarnowanych obozowiczów. Tacy pewni siebie, w pełnym rynsztunku, ~~xxkx~~ tylko bez broni. Pomyślałem sobie wtedy - ciekawe, jak długo wy będziecie tacy butni... Nie<sup>v</sup> wiele czasu upłynęło, ordery spadły... Stali się szarymi wiganiami, takimi jak my.

Ale byli i inni Niemcy, z którymi można było pogadać, nawet niektórych



funkcyjnych nasi pozytywnie oceniali. Ja osobiście niewiele miałem z Niemcami styczności.

Dla mnie końcowy okres pobytu w obozie (od sierpnia) był już znośny, zwłaszcza pod względem jedzenia. Nadal to samo: dziesiątki w tych samych narach, ale nie byłem przynajmniej głodny, a nawet mogłem sobie kupić coś z odzieży, stać mnie było na zakupienie pamiątkowego pierścionka (takie rzecz robiли niektórzy koledzy), który był jedyną cenną rzeczą, jaką przywiozłem z obozu (był z blachy aluminiowej). Dzisiaj trochę żałuję, że oddałem go w podzińce Matce Boskiej w jednym z krakowskich kościołów - miałbym choć jedną pamiątkę. Przywiozłem jeszcze zaświadczenie, jakie mi dano na granicy - toczę boje, by otrzymać odpis ankiety, ale odesłali mnie do komisji badań zbrodni hitlerowskich. Robiłem coś w rodzaju zapisków - może są u mojej matki. I jeszcze plakietkę - "I", czyli "Internowanyj"...

Red.:  
(Czy była jakaś korespondencja?)

Nic do nas nie docierało, rodziny o nas kompletnie nic nie wiedziały. Moja matka, jak mnie pożegnała, gdy szedłem do partyzantki, tak ujrzała mnie 3 czy 4 marca 46 r. Poszukiwała mnie przez Czerwony Krzyż, ale bez skutku. Nikt nami się nie interesował, w sensie polskich i obcych władz. Dzisiaj Amerykanie potrafią krzyczeć, gdy dwóch Palestyńczyków zabi<sup>li</sup>li, a kiedy nas dręczono, o tym nikt nic nie mówił.

23 lutego przyjechałem na granicę, do Białej Podlaskiej, było to w dniu moich imienin. 1 marca otrzymałem zaświadczenie i byłem wolny - po raz pierwszy mogłem iść ulicą i nikt za mną nie szedł! Błogie to uczucie...

Wyjazd z obozu nastąpił w połowie lutego, chyba od razu z Nowenki. Nie pamiętam, czy szliśmy do wagonów, czy nas wieźli. Nie pamiętam momentu załadunku. Zapamiętałem tylko, że ostatniego dnia wieczorem przyszedł zrobiony nam apel, przyszedł jakiś oficer - Teraz już jedziecie do Polski. Ale my i tak obawialiśmy się, nie mieliśmy pewności, czy nie wiozą nas gdzieś dalej. Pyta się - Jak wam było w Rosji? My oczywiście - Choroszo! Do co mieliśmy powiedzieć?...

Co istotne - już pod koniec pobytu nie robili nam powierzek na powietrzu tylko w tarakach, a to była już duża ulga.

Nie pamiętam też przewozu do Polzski, tylko pamiętam, że mieliśmy już znacznie lepsze warunki, np. było luźniej w wagonie, porobiono nary. Ale z kolei nie dali opału, ciągliśmy więc wewnętrzne deski, które stanowią wzmacniającą konstrukcję wagonu, i paliliśmy je w piecu; Jak ten wagon dojechał nie mam pojęcia. Dawali też jakby lepsze jedzenie.

Jeszcze w Irześciu przetrzymali nas ze dwa dni. Czekaemy i czekamy, a bractwo wpadło w szal, dosłownie zaczęła się zbiorowa histeria. Krzyki - Puście nas! Tupanie, bicie w wagony. Bractwo było już kompletnie rozdygotane... Obojętne nam było, co się z nami stanie. Dopiero po tym nas wypuścili.

Po nas wchodzili do wagonów nasi następcy, pod strażą, prawdopodobnie wuasowcy. Wszyscy w futrzanych czapach, rozmaicie umundurowani, ale w ciepłej odzieży.

Przywiezli nas do Białej Podlaskiej, zakwaterowano, zrobiono zdjęcie na UB. Każdy z nas podchodził do oficera (w randze podporucznika czy porucznika), a on wypisywał ankietę powracającego; pisał chyba: aresztowany za przynależność do AK. Ubek mnie pyta - A gdzie ty byłeś w czasie okupacji? A w czasie której? - pytam. Jak to której?! - on na to. Bo ja byłem w Stryju - mówię - we Lwowie... No, no! Uważaj - rzuca. - Chcesz wrócić, skąd przyjechałeś?! Nic już nie powiedziałem...

Podpisywaliśmy ankiety, wydali nam zaświadczenia, fotograf robił zdjęcie z numerem. W PUR- (ze dali nam kilkaset złotych i bezpłatny bilet i z Józkiem Patko przez zniszczoną Warszawę wróciliśmy do Krakowa. Nigdzie nie kazali mi się meldować.

Co pozwoliło mi przeżyć? Może moja chęć powrotu?... Powiedziałem sobie, że muszę wrócić! Nie poddałem się jakoś tej obozowej erozji psychicznej. Mimo strasliwego bytowania, tego wszystkiego, co mnie oteczało, zawsze towarzyszył mi wrodzony optymizm. A chcę wrócić do domu, przecież tam na mnie czekają! Nawet mnie czasami donerwowało, że niektórzy tak łatwo się



psychicznie poddawali. Męscyżni, dorośli, ludzie już psychicznie dojrżeli, a ja jakoś się nie dawałem... Nie chodzi o to, że ja tu chcę bohatera z siebie robić, tylko - pamiętam - denerwował mnie ten niepotrzebny smutek, wieczne jęczenie: a co to z nami zrobią?, a może wywioszą dalej?, a może rozstrzelają?... Chociaż ja też, kiedy zachorowałem na dystrofię, przestałem wierzyć w powrót.

Dużo pomogła mi religia; był to okres, kiedy człowiek stawał się wyjątkowo podatny na sprawy religijne.

Przez cały pobyt obozie miałem w pamięci pewien obrazek - moment pierwszego zameldowania się u dowódcy oddziału. O tym wydarzeniu stale pamiętałem i to też pomogło mi przetrwać. Inni, też z partyzantki przecież załamywali się. Np. Józek Batko popadł w pewien rodzaj rozstroju nerwowego, jakieś objawy schizofrenii - potrafił godzinami siedzieć, oczy w śniep... zatracił wiarę w powrót. To mnie denerwowało - jak można tak leżeć i pierdoły opowiadać, że zginęliśmy... Panowie - mówiłem - póki żyjemy, nie zginęliśmy.

Uratowały mnie pewne zbiegi okoliczności, do których zaliczam w pierwszym rzędzie (jeśli chodzi o stronę fizyczną), co było jakimś błogosławieństwem Opatrzności, że dostałem się do brygady Makarewicza.

Ludzie sobie też jakoś pomagali. Muszę tu wspomnieć o Józefie Kucharskim ( w obozie był ze swoim umierającym ojcem, który jakoś przeżył i powrócił), który dużo mi pomógł. Dał mi kilkak<sup>o</sup> razy dobrej zupy - nigdy mu tego nie zapomnę. To są wartości, o których trudno zapomnieć, które do dziś mnie wzruszają...

Na pewno pobyt w obozie pozostawił ~~wrażenie~~ ślad w mojej psychice na długie lata. Głównie obawa w tamtych latach, kiedy każdy, kto był związany z AK, żył pod presją. Wstyd dzisiaj o tym mówić, ale wtedy nie przyznawaliśmy się... Do ZPOWID-u wstąpiłem zresztą dopiero w 79 r., <sup>tylko</sup> nie dlatego, ponieważ wiem szczerze, by mieć dziesięć dni urlopu więcej... Ale ZPOWID nie jest moją organizacją...

Cenię sobie to, że dożyłem takich czasów, w których możemy rozmawiać na

te tematy. Odzywa się coraz więcej odważnych głosów, jak np. posła Bendera w sejmie. Cieszę się, ~~że~~ będę mógł dla moich kolegów zorganizować to nasze spotkanie, bo naszym obowiązkiem jest, by te wspomnienia ujrzały kiedyś światło dzienne; jest to ciąg dalszy służby i wszyscy ci, którzy mogą, o ile starcza im sił i fizycznych, i psychicznych, od tego obowiązku nie zostali zwolnieni.